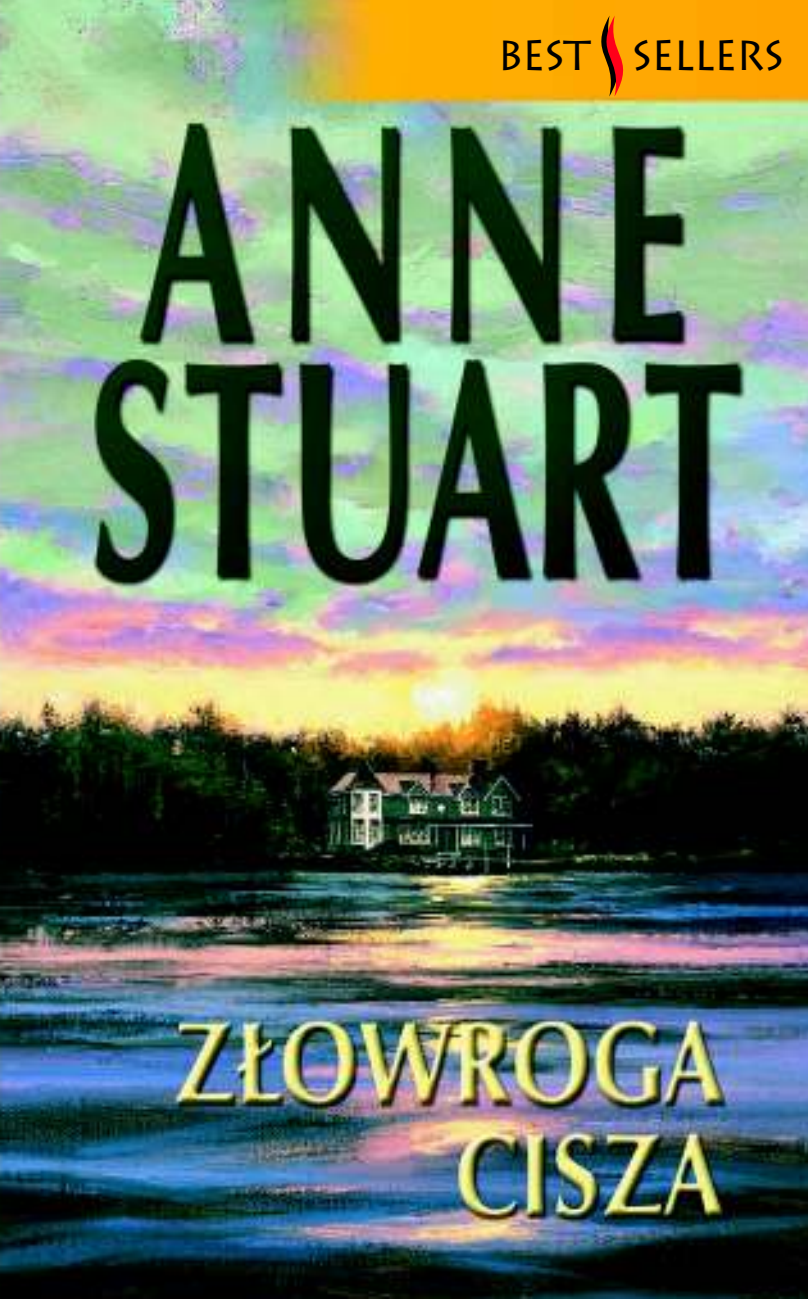
BEST SELLERS

ANNE STUART



ZŁOWROGA CISZA

MIRA®

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

Sarine

BEST SELLERS





WYDAWNICTWO MIRA

PASJA CZYTANIA KAŻDEGO DNIA

ZŁOWROGA CISZA

BEST SELLERS

Tytuły 2007 roku:

luty
Nora Roberts – *Dziedzictwo*
Erica Spindler – *Jesteś jak ogień*
Diana Palmer – *Do dwóch razy sztuka*
Anne Stuart – *Złowroga cisza*
Heather Graham – *Zabójczy wdzięk*
Penny Jordan – *Gra*

kwiecień
Nora Roberts – *Książęcy ród*
Diana Palmer – *Dwa kroki w przyszłość*
Dallas Schulze – *Ślubny kontrakt*
Sharon Sala – *Światło w ciemności*
Heather Graham – *Nos kosa*
Mary Alice Monroe – *Klub Książki*

czerwiec
Erica Spindler – *Z ukrycia*
Carla Neggers – *Wodospad*
Mary Alice Monroe – *Raj na ziemi*
Heather Graham – *Nawiedzony dom*
Diana Palmer – *Po północy*
Nora Roberts – *Twórcy marzeń*

Informacje o serii Bestsellers
oraz sklep internetowy na stronie: **www.bestsellery-mira.pl** *

**** Nie płacisz za koszty wysyłki***

ANNE STUART

ZŁOWROGA CISZA

Przełożyła:
Klaryssa Słowiczanka

Tytuł oryginału:
Still Lake

Pierwsze wydanie:
MIRA Books, 2002

Redaktor prowadzący:
Mira Weber

Korekta:
Mira Weber

© 2002 by Anne Kristine Stuart Ohlrogge
© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2004, 2007

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak graficzny Bestsellers jest zastrzeżony.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Rakowiecka 4

Skład i łamanie: COMPTEXT®, Warszawa
Printed in Spain by Litografia Roses, Barcelona

ISBN 978-83-238-1748-2

PROLOG

Lato 1982
Colby, Vermont

Otworzył oczy i zobaczył, że ma krew na rękach. Leżał nagi i spocony w skotłowanej pościeli. Czuł żelazisty posmak w ustach, jego zakrwawione ręce drżały mocno.

Siadł na łóżku, zaklął, odgarnął długie, ciemne włosy z twarzy i spojrzał w rozświetlone porannym słońcem okno. Wcześnie. Nienawidził budzić się przed dwunastą.

A już na pewno nie z krwią na rękach.

Wygramolił się z łóżka i ruszył do drzwi kuchennych, musiał się odlać. Dopiero teraz zobaczył, że cały jest wymazany krwią. Oparł się ciężko o ścianę i jęknął.

Noc, jak wiele poprzednich, spędził w rozpadającym się domku nad jeziorem. Nie było prysznica, a on za cholerę nie miał zamiaru łazić wysmarowany krwią jakiegoś zwierzęcia.

Wracając wczoraj do domu, musiał zabić sarnę, ale, do diabła, nic nie pamiętał.

Naciągnął pochlapane farbą dżinsy z obciętymi nogawkami i ruszył w stronę jeziora. Szedł szybko, na tyle szybko, na ile pozwalała mu pękająca z bólu głowa. Ostatniej nocy za dużo wypalił, za dużo wypił, musiał pozbyć się złogów nikotyny i alkoholu z organizmu. Szybko. Zimna woda powinna rozjaśnić mu w głowie i przywrócić pamięć. Potem wróci do domku, spakuje się, wyniesie stąd w cholerę. Miał dość tego zadupia.

Nawet teraz, w sierpniu, woda w jeziorze była lodowata. Wydał ni to pisk, ni to krzyk i zanurkował, pozwalając, by woda spłukała krew z rąk, z długich włosów, z gęstej brody. Wynurzył się dopiero jakieś sześć metrów od brzegu, odrzucił włosy na plecy, spod zmrużonych powiek spojrzał w słońce.

W zajeździe było więcej gości niż zwykle, Peggy Niles powinna być zadowolona. Chciała zrobić z niego chłopaka na posyłki, chociaż mówił jej, że wyjeżdża. Wróci chyłkiem do domu, zabierze rzeczy i ucieknie stąd, zanim zdąży się rozmyślić.

Lorelei powiedziała mu, żeby spadał, zresztą i bez tego nigdzie nie potrafił długo zagrzać miejsca. Zima za pasem, w Kolorado na pewno znajdzie robotę, pojeździ na nartach.

Zanurkował znowu i długimi, pewnymi wy-

rzutami rąk zaczął płynąć do brzegu, okrążając pomost, który zbudował przed kilku miesiącami. Kiedy się wynurzył, zobaczył w przybrzeżnych szuwarach – przez pół lata usiłował się ich pozbyć – unoszące się na wodzie ubrania. Rozpoznał swoją ulubioną koszulę w jaskrawe paski. Kto, u diabła, wyrzucił zawartość jego walizki do jeziora? Pewnie Lorelei. Była wściekła, kiedy jej powiedział, że wyjeżdża, ale też nie znalazła dobrych argumentów, by zechciał zmienić decyzję. Prawdę powiedziawszy, nawet nie wiedział, czy ktokolwiek znalazłby dobre argumenty.

Podpłynął bliżej, stanął, przymrużył oczy. Był krótkowidzem, lecz nie nosił okularów, chyba że latem, przyciemniane, ale w domowym bałaganie na pewno by ich nie znalazł, nie próbował nawet szukać. Dojrzał białą koszulę z długimi rękawami. Ki diabeł? Nie nosił białych koszul z długimi rękawami.

Stał przez chwilę bez ruchu, po pas w lodowatej wodzie. Raptem rzucił się przed siebie, przypadł do niej, odwrócił: szara, martwa twarz. I podcięte gardło. To wyglądało niczym krwawy uśmiech klauna.

Wysypali się na brzeg nie wiadomo skąd. Czekali na niego.

– Thomasie Ingramie Griffinie, znany jako Gram Thomas albo Billy Gram, jesteś aresztowany pod zarzutem zabójstw z premedytacją dokonanych

na Alice Calderwood, Valette King i Lorelei Johnson. Wszystko, co od tej chwili powiesz...

Nie słuchał słów formuły. Patrzył na dziewczynę, którą trzymał w ramionach, z którą spędził ostatnią noc, której krew miał na rękach.

Rozpłakał się.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Na drodze do zbawienia świata stała jedna poważna przeszkoda. Sophie Davis w zamyśleniu wepchnęła do ust ostatni kęs. Nikt nie chce jej pomocy.

Siedziała w pustej kuchni Stonegate Farm zajęta dojadaniem mufinki, tak ogromnej i tak maślanej, że mogłaby zakorkować arterie czteroosobowej rodziny. Ale Sophie wierzyła, że kalorie konsumowane w odosobnieniu nie tuczą. Skoro już upiekła na śniadanie mufinki, to co będzie sobie żałować. Sięgnęła po drugą.

Nikt nigdy poza nią nie miał na nie ochoty. Jej matka, Grace, jadła tyle co nic, a przyrodnia siostra, Marty, kiedy już zdołała zwlec się z łóżka, sięgała na dzień dobry po papierosa i kawę, to jej wystarczało.

Sophie chyba ją rozumiała. Sama rzuciła palenie cztery miesiące wcześniej i w efekcie powiększyła swoją, już i tak obfitą, powłokę cielesną

o dodatkowe siedem kilogramów. Nie było dnia, żeby nie tęskniła za tym krótkim, zawsze najsmakowitszym, ostatnim sztachnięciem.

Przełamała drugą bułeczkę, połowę odłożyła na kamionkowy talerz w próżnej nadziei, że nie ulegnie pokusie. Cukier i masło okazały się całkiem niezłymi substytutami nikotyny, ale fatalnie odbijały się na wyżej wzmiankowanej powłoce. Po papierosach zostawała smoła w płucach, ale przecież nikt nie zaglądał jej w płuca. Jeśli nie zacznie się kontrolować, niedługo zamiast dwunastki, będzie musiała nosić czternastkę. Sięgnęła po odłożoną połowę bułeczki i włożyła do ust.

Tak, zdecydowanie powinna się kontrolować. Nie chodziło tylko o jedzenie. O życie w ogóle. Rozkręcanie własnej firmy zawsze wprowadza w ludzką egzystencję chaos. Nawet jeśli ktoś ma tyle energii i entuzjazmu co Sophie. A ona na przekór wszystkiemu wymarzyła sobie, że otworzy wiejski zajazd. Przez lata piekła i gotowała wyłącznie w teorii. Prowadziła kolumny kulinarne w różnych nowojorskich gazetach. Była wolnym strzelcem. Wynajmowała małe mieszkanie na Brooklynie i utrzymywała się z pisania. Marty nazywała ją Marthą Stewart [1] dla ubogich, co Sophie gotowa byłaby uznać za komplement, gdyby nie ładunek ironii zawarty w tym stwierdzeniu.

---

[1] *Martha Stewart* – autorka popularnych w USA książek kucharskich i telewizyjnych programów kulinarnych.

Zaciągnęła kredyt, kupiła Stonegate Farm, kawałek ziemi w północno-wschodnim Vermoncie, ogromny stary dom z sześcioma sypialniami. Kilka dodatkowych pokoi gościnnych można było urządzić w skrzydle od strony ogrodu, wystarczyło je wyremontować. Wszystko wydawało się proste. Sprowadziła tu matkę i siostrę.

Grace nie była szczególnie zachwycona. Nie przemawiały do niej sielskie klimaty, ale walka z rakiem piersi bardzo ją osłabiła i po raz pierwszy w życiu przyznała, że potrzebuje pomocy. Przyjechała w końcu do Stonegate, odgrażając się, że jak tylko nabierze sił, zacznie podróżować po świecie. Po czterech miesiącach Sophie wiedziała, że Grace już nie ruszy się z farmy.

Tym razem nie był to rak. Matka przestawała kontaktować i kojarzyć, szwankowała pamięć, umysł odmawiał posłuszeństwa. Nigdy nie należała do błyskotliwych – ojciec Marty i Sophie mówił o niej tyleż czule co zgryźliwie „moja przyćmiona żona'' albo „Gracja Dystrakcja'' – ale teraz jej stan pogarszał się niemal z dnia na dzień i zaczynał stanowić poważny powód do zmartwienia.

Sophie nie bardzo wiedziała, jak pomóc matce. Doktor, z którym zaprzyjaźniła się serdecznie zaraz po przyjeździe, powiedział wprost: „Albo to powtarzające się, drobne wylewy, albo początek Alzheimera''. Grace oznajmiła, że za nic nie pójdzie do szpitala, a Dok nie nalegał. Uznał, że zdążą

przeprowadzić konieczne badania, jeśli choroba będzie postępować.

Marty, z typowym wdziękiem nastolatki, nie chciała nawet słyszeć o mającym powstać zajeździe, no i oczywiście nie zamierzała aktywnie uczestniczyć w jego prowadzeniu. Żywiołowo nie znosiła siostry, ale do tego Sophie zdążyła się już przyzwyczaić. Nadąsana Marty i zasklepiająca się coraz szczelniej w niepamięci Grace, przedwcześnie postarzała, krążąca po domu niczym zjawa z koszmaru sennego. Marty patrzyła na to z sadystyczną satysfakcją. Nie dość, że Sophie kazała jej mieszkać na takim cholernym odludziu, to jeszcze przywlokła tu tę staruchę. Po kiego diabła? – pytała ze złością siostrę przynajmniej raz na tydzień.

Sophie zerknęła na ostatnią mufinkę. Jeśli zje i tę, pochoruje się. Nie od razu, ale pochoruje się na pewno. A co tam, miała na nią ochotę. Nikt przecież nie patrzy, nikt nie jest świadkiem jej słabości.

Już po nią sięgała, kiedy usłyszała kroki. Szybko cofnęła dłoń, jak dziecko przyłapane na łasowaniu.

Do kuchni weszła Grace, w rzeczach dobranych bez ładu i składu, w krzywo zapiętym, zmechaconym swetrze. Ona, która zawsze nosiła markowe ubrania. Miała sześćdziesiąt lat, ale wyglądała na osiemdziesiąt: zaniedbana, wychudzona, byle jak uczesana. Tuż za Grace pojawiła się Marty, z kwaśną jak zwykle miną.

– Upiekłam mufinki – oznajmiła Sophie z uśmiechem, wyrzucając z pamięci fakt, że już prawie wszystkie zjadła.

– Wspaniale, kochanie – ucieszyła się Grace. Nie do końca udało się jej spiąć włosy w węzeł, siwe kosmyki wymykały się z niego pod najróżniejszymi kątami. Sophie przemknęło przez głowę, że za kilka minut cudaczna fryzura rozsypie się ze szczętem i matka będzie wyglądała jeszcze bardziej żałośnie. – Wypiję tylko kawę.

– Powinnaś coś zjeść, mamo. Wiesz, co mówił doktor – usiłowała zaoponować.

Zamglone oczy Grace znieruchomiały, spojrzały na Sophie jakoś dziwnie.

– Nie wierz we wszystko, co ci mówią. Ludzie nie zawsze są tacy, jak się nam wydaje.

– Ja nie... – zaczęła Sophie, nawykła do dziwacznych, nieadekwatnych reakcji matki, ale Grace zdążyła już nalać sobie kawy i wyjść z kuchni.

Marty bez słowa podeszła do ekspresu.

– Ja też się cieszę, że cię widzę. – Sophie natychmiast pożałowała tych słów. Czemu nie ugryzła się w język? Agresywnymi uwagami na pewno nie poprawi atmosfery w domu.

Marty nawet na nią nie spojrzała. Nalała sobie kawy i upiła solidny łyk, całkowicie ignorując obecność siostry.

– Schowałaś ręczniki do szafy? – Tym razem

Sophie spróbowała innego tonu, wyzutego z agresji, chociaż Marty potrafiła się naburmuszyć na najbardziej niewinne pytanie. Wieczne sprzeczki i darcie kotów; kto by to wytrzymał?

Marty wsadziła nos w krzyżówkę. W tym tygodniu krótkie, postawione na żel włosy ufarbowała na czarno, tylko na samych końcach zaaplikowała sobie jadowity fiolet. Przed następną metamorfozą będzie musiała je utlenić, a prędzej czy później nic nie zostanie jej na głowie. Ta perspektywa budziła w Sophie tak zwane mieszane uczucia. Może przynajmniej żaden z potencjalnych fatygantów nie będzie dążył do intymnej zażyłości z kompletnie łysą siedemnastolatką.

– Przecież mi kazałaś, nie?

Sophie westchnęła. Tylko spokojnie.

– Musisz mi pomagać, Marty, jeśli zajazd ma ruszyć. Nie mogę wszystkiego robić sama. Lato się kończy, powinnyśmy otworzyć interes wczesną jesienią, inaczej nigdy nie odzyskamy zainwestowanych pieniędzy. Mam już pierwsze rezerwacje na wrzesień...

– A co mnie to obchodzi? Ściągnęłaś mnie na to zadupie, cholera wie po co. Nie przyszło ci do głowy, że mam swoje życie, przyjaciół. Nie zamierzam prowadzić pensjonatu. Nie zamierzam tkwić na wsi z tobą i tą starą wariatką. Nie zamierzam ci pomagać.

Dobrze, że Sophie nie zjadła trzeciej mufinki, bo zaczynało ją mdlić już po tej drugiej.

– Ta stara wariatka to moja matka. Ciebie ona nie obchodzi, wiem, ale ja czuję się za nią odpowiedzialna. Codziennie musimy to przerabiać? Znajdź sobie kogoś innego do dręczenia.

– Jakoś tylko z tobą nie mogę się dogadać. Nie odpuszczę, dopóki nie zaczniesz wreszcie słuchać, co się do ciebie mówi.

– Słucham, co do mnie mówisz. – Cierpliwości! – Wiem, że ci brakuje twoich przyjaciół, ale wierz mi, to było nieodpowiednie towarzystwo.

– Niby skąd możesz to wiedzieć? Ty nie masz żadnego. Nie potrafisz się z nikim zaprzyjaźnić i zazdrościsz mi, bo mam tylu znajomych, kumpli i w ogóle...

– Sami nieciekawi ludzie. – Znowu błąd. W ten sposób prowokowała tylko siostrę do dalszych sprzeczek. Dlaczego tak łatwo dawała się podpuszczać tej smarkuli?

Marty uśmiechnęła się kwaśno.

– Znaczy się, pasuję do nich, nie?

– Marty, proszę...

– Twoje pieprzone ręczniki są w twojej pieprzonej szafie: beżowe, lila, seledynowe, kremowe, we wszystkich kolorach, w jakich chcesz. Czekają na twoich pieprzonych gości. A teraz zejdź ze mnie. – Marty zabrała kawę, gazetę i wyszła

z kuchni, trzaskając drzwiami. Sophie z ciężkim sercem sięgnęła po trzecią mufinkę.

Nic nie zapowiadało ocieplenia rodzinnej atmosfery w najbliższej przyszłości. Od jej przyjazdu do Colby minęło już kilku miesięcy, a Marty nadal chodziła zła jak osa. Sophie miała nadzieję, że zmieni coś w życiu siostry, kiedy wyrwie ją z miasta, modliła się o to. Słońce, świeże powietrze, ciężka praca, i wszystko się odmieni, oczywiście na lepsze.

Jak dotąd wszystko było po staremu. Sophie próbowała robić dobrą minę do złej gry, puszczała mimo uszu wieczne pretensje Marty, ale nie była świętą, czasami traciła panowanie nad sobą. Miłość jest rzeczą trudną, powtarzała sobie niczym mantrę.

Trudno o bardziej poplątaną rodzinę. Grace rozwiodła się ze swoim zwalistym kowbojem, kiedy Sophie miała dziewięć lat, oddała jedynaczkę do szkoły z internatem i znikła. Ojciec Sophie, Morris, krótko po rozwodzie ożenił się powtórnie, dochował się drugiej córki, Marty. Starszą zapraszał na nudne, wlokące się jak flaki z olejem wakacje. Wszystko się zmieniło, kiedy Morris i jego nowa żona zginęli w wypadku samochodowym, osierocając małą Marty. Rodzina to rodzina. Sophie właśnie skończyła studia na Columbii. Przygarnęła siostrę i we trzy zamieszkały w sypiącym się mieszkaniu Grace na Wschodniej Sześćdziesiątej Szóstej Ulicy. Śmierć rodziców musiała

się odbić na nieukształtowanej jeszcze psychice Marty, ale zarówno włócząca się po świecie Grace, jak i ceniąca sobie domowe zacisze Sophie próbowały zminimalizować skutki wstrząsu. Obie otoczyły Marty opieką i jakoś sobie radziły. Do czasu. Kiedy Marty skończyła piętnaście lat, stała się nieznośna. U Grace wykryto raka piersi. Prysł z trudem klecony spokój, zaczęły się kłopoty.

Skończyła mufinkę i podniosła się od stołu, żeby nie myśleć już o jedzeniu. Przez kilka ostatnich miesięcy harowała jak wół. Doprowadzenie Stonegate Farm do takiego stanu, by ponownie działał tu wiejski zajazd, wymagało ogromnego wysiłku. W latach osiemdziesiątych był tu pensjonat, potem właściciel zamknął interes, od pięciu lat na farmie nikt nie mieszkał. Już samo uprzątnięcie gruzu i rupieci okazało się nie lada przedsięwzięciem. Remont, to znaczy konieczne naprawy, malowanie i urządzenie wnętrz, urastał do wymiaru zadania godnego Herkulesa i pochłonął wszystkie zasoby finansowe, które Sophie zdołała zgromadzić. Główny budynek był gotowy, pozostało jeszcze zdecydować, co zrobić ze skrzydłem od ogrodu: próbować je odremontować, czy zrównać z ziemią. W taki stanie, w jakim było, w każdej chwili mogło się zawalić.

Sophie miała dość kłopotów z doprowadzeniem do stanu używalności głównego korpusu. Na wynajęcie firmy remontowej z prawdziwego zdarzenia

nie mogła sobie pozwolić, większość prac wykonywała sama. Na pomoc Grace nie mogła liczyć z oczywistych powodów, a z Marty było więcej kłopotów niż pożytku. Tymczasem zbliżał się dzień otwarcia zajazdu i Sophie coraz bardziej się denerwowała. Wszystkie pokoje zostały już zarezerwowane na kilka tygodni. Pozostawało tylko przygotować się perfekcyjnie na przyjęcie pierwszych gości. Ostatnie retusze, uroczyste otwarcie i wreszcie będzie mogła spokojnie odetchnąć.

Podeszła do okna wychodzącego na jezioro, spojrzała tęsknie na gładką, wabiącą z daleka taflę wody.

Nie.

Wiedziała, że czeka na nią praca, ale nie mogła się zmobilizować. Poranek był wyjątkowo piękny, przez otwarte okna wpadał do wnętrza powiew ciepłego powietrza, gałęzie klonów kołysały się lekko. Przez ostatnie pół roku, od momentu przyjazdu do Vermontu, nie miała chwili wytchnienia – zasłużyła sobie chyba na dzień odpoczynku? Wyciągnie się wygodnie, będzie rozwiązywać krzyżówki i palić papierosy. Jak Marty.

Papierosy odpadają. Rzuciła przecież palenie. Umości się w hamaku ze stertą książek kucharskich pod ręką, zje mufinkę...

Prawda, zjadła ostatnią, nie wiedząc nawet kiedy. Dzięki Bogu lubiła luźne ubrania, pod którymi mogła ukryć grzechy dietetyczne. Natomiast jej

chuda siostra zawsze odsłaniała tyle ciała, ile tylko mogła.

Leniuchowanie w hamaku w ciepły dzień nie dla takich jak ona, w każdym razie nie tego lata. Może w przyszłym roku, kiedy zajazd będzie już funkcjonował pełną parą. Może wtedy uda się już wynająć kogoś do pomocy, zrobić sobie od czasu do czasu dzień wolny i cieszyć się błogim spokojem i urokami wiejskiej egzystencji, o której marzyła przez całe życie. Tymczasem musi wracać do pracy, Stonegate za dwa tygodnie powinno być gotowe na przyjęcie pierwszych gości. Ale nie tylko to, do piątku musi skończyć zamówiony tekst, a nawet go nie zaczęła.

Powinna chyba zrezygnować z pisania, lecz nie potrafiła. Prowadziła rubrykę kulinarną – „Listy ze Stonegate Farm" w lokalnym tygodniku wychodzącym na Long Island. To dawało jej poczucie stabilności, przypominało, że żyje, jak sobie wymarzyła. Po latach wyjaśniania znudzonym paniom domu, jak przygotować domowy makaron, jak z pojemnika na mleko zrobić oryginalną doniczkę, a standardowy dom zamienić w sielskie siedlisko, wreszcie mogła sama realizować własne porady. Już niedługo jej możliwości zostaną ocenione przez ludzi zapewne życzliwszych od wiecznie nadąsanej siostry i żyjącej w innym świecie matki.

Jak na połowę sierpnia dzień zapowiadał się

wyjątkowo ciepły. Ledwie ranek, a słońce przygrzewa w najlepsze. Podwinęła rękawy do łokci. Przejdzie się nad brzeg jeziora, chwila samotności dobrze jej zrobi. Tu, na północnym krańcu Still Lake nawet latem trudno było kogoś spotkać. Jedyny dom w sąsiedztwie, stara chata Whittenów, od lat stał opuszczony. Reszta ziemi wokół należała do Sophie, w tym także zabudowania, rozpadająca się stodoła i domki letniskowe. Tych ostatnich nie było sensu remontować. Zamierzała je rozebrać, gdy tylko zdobędzie pieniądze. W końcu ciche teraz Stonegate rozkwitnie, zapełni się turystami, zacznie przynosić dochód.

Czy będzie się dobrze czuła, mając bez przerwy do czynienia z przewijającymi się przez farmę, szukającymi wiejskich rozkoszy przyjezdnymi? Na razie wolała się nad tym nie zastanawiać, ale też nie przychodziło jej do głowy, jak inaczej miałaby utrzymać Stonegate. Była realistką. Jeśli za cenę obsługiwania tabunów turystów będzie mogła mieszkać na wsi, chętnie tę cenę zapłaci.

Otworzyła drzwi i ruszyła w kierunku jeziora. Północny jego skraj, nad Zatoczką Whittena, był najsłabiej zaludniony na całym obszarze wokół Colby. Dawno temu Stonegate było dochodową farmą produkującą mleko, ale już od ponad czterdziestu lat nikt nie widział tu krowy na pastwisku. Sophie kupiła gospodarstwo od synów Peggy Niles, pijaków najwyraźniej uszczęśliwionych, że

wreszcie pozbędą się kłopotu. Wkrótce zrozumiała dlaczego. Ludzie unikali miejsca, w którym przed laty dokonano głośnej zbrodni.

Z drugiej strony wszyscy Nilesowie, jak twierdziła Marge Averill, przyjaciółka Sophie, byli ponoć żałosnymi kreaturami. Leniwi, pozbawieni ambicji, wiecznie zapijaczeni. Stary Niles zostawił rodzinę, a synalkowie wytoczyli z matki ostatnią kroplę krwi. Wyprzedawali ziemię kawałek po kawałku, a ona walczyła, żeby utrzymać to, co zostało. Wynajmowała pokoje letnikom i jakoś dawała sobie radę. Do czasu zbrodni.

Trudno uwierzyć, że coś równie koszmarnego mogło zdarzyć się w uroczej wiosce w Nowej Anglii, ale Sophie nie była naiwna, każda stara miejscowość miała w swojej historii kartę wypełnioną okrucieństwami, ohydnymi, budzącymi zgrozę czynami. No a morderstwa w Northeast Kingdom nie należały do tych najbardziej niezwykłych. Śmierć trzech nastolatek to oczywiście tragedia, ale sprawiedliwości stało się zadość. Mordercę, młodego ćpuna, ujęto i skazano. Minęło dwadzieścia lat, ale rodzice nadal zapewne opłakiwali swoje córki, to naturalne. Na samą myśl, że mogłaby stracić Marty, Sophie ogarniała bezrozumna panika. Nie wyobrażała sobie takiej tragedii, nie zniosłaby chyba ciosu.

Jednak Colby z czasem otrząsnęło się z koszmaru. Wszyscy, poza rodzinami ofiar, dawno

zapomnieli o okolicznościach zbrodni, o tym, że jedną z dziewcząt znaleziono przy brzegu jeziora, dwie pozostałe w pobliżu, a wszystkie trzy pracowały w zajeździe u Peggy Niles. Doktor, człowiek obdarzony dość upiornym poczuciem humoru, żartował, że Sophie mogłaby odcinać kupony od mrocznej przeszłości zajazdu: „Nawiedzona Gospoda" albo „Czerwona Oberża" – zdaniem Doka taka chwytliwa nazwa zapewniłaby zajazdowi wspaniałą reklamę.

Sophie nie odważyłaby się na taki krok, nie w Colby. Poza tym Dok Henley nie mówił poważnie. Był jowialny, poczciwy i przypominał wiejskich lekarzy ze staroświeckich powieści. Pomógł przyjść na świat bodaj połowie mieszkańców miasteczka i rozsianych wokół jeziora wiosek, towarzyszył narodzinom trzech zamordowanych dziewcząt i żegnał swoich pacjentów, kiedy nadchodził ich czas.

Sophie ułożyła się w hamaku, oparła stopy o kamień, zapatrzyła się w przestrzeń. Czekała, aż spłynie na nią absolutny, tak przecież ulotny i trudny do osiągnięcia spokój. Bezruch.

Coś było nie tak.

Usłyszała samochód na żwirowym podjeździe. Tak już przywykła do wszystkich dźwięków, jakie rozbrzmiewały w tym cichym zakątku, że bez trudu rozpoznała dychawiczny silnik starego saaba Marge Averill. Leniwie pomachała dłonią, nie

chciało się jej podnosić z fotela. Marge – krzepka, dobiegająca czterdziestki, serdeczna, ale twarda – od kiedy sprzedała Sophie farmę Nilesów, zapałała do nowej właścicielki Stonegate szczególną przyjaźnią. Sophie podejrzewała, że zyskała w Marge bratnią duszę, ponieważ sporo przepłaciła za starą farmę.

– Cudowny ranek! – wołała Marge z daleka, energicznie maszerując przez trawnik. – Jak twoja matka?

– Dziękuję. – Sophie coś wietrzyła. O tej porze roku handel nieruchomościami zwykle się ożywiał, agenci mieli prawdziwe urwanie głowy. Marge nie przyjechała na farmę pytać o zdrowie Grace. Musiała mieć ważny powód. – Co cię sprowadza?

– Nie spodoba ci się to, co usłyszysz – oznajmiła Marge krótko i opadła na sąsiedni fotel.

Sophie jęknęła.

– Znowu Marty? Co wyczyniała tym razem?

– Nic, o ile wiem. Tym razem to ja chyba dałam plamę. Wynajęłam chatę Whittenów.

Sophie odwróciła się gwałtownie, zmrużyła oczy w promieniach porannego słońca. Już wiedziała, co było nie tak, co ją zaniepokoiło przed chwilą. Ktoś zamieszkał w starej chacie. Okiennice stały otworem, drzwi też, ale nikt nie kręcił się wokół domu, na podjeździe nie było samochodu.

– Cholera.

– Nie moja wina. Od lat pies z kulawą nogą nie

interesował się tym miejscem, aż tu zadzwonili do mnie z kancelarii, która zajmuje się spuścizną Whittenów, powiedzieli, że zgodzili się na wynajem i że nowy najemca prawdopodobnie będzie chciał kupić chatę. Nie mogłam przebić ceny w twoim imieniu, nie bez uprzednich konsultacji, no a ten facet już przyjechał, więc sama rozumiesz...

– Wiesz, że w tej chwili nie mam pieniędzy, nie mogę kupić chaty – mruknęła Sophie. Trzecia mufinka wyraźnie ciążyła jej w żołądku. – Wszystko co miałam, włożyłam w remont Stonegate.

– Ta transakcja to jeszcze nic pewnego. Nikt jeszcze nie wytrzymał w chacie Whittenów dłużej niż kilka tygodni, ten nowy też pewnie nie zdzierży. Uzbrój się w cierpliwość. Usłyszy o morderstwach i wpadnie w popłoch – pocieszała przyjaciółkę Marge.

– Ja się nie wystraszyłam.

– Bo kobiety są silniejsze i odważniejsze od facetów. Obie to wiemy. – Marge spojrzała w stronę chaty. – Podejdź do sprawy filozoficznie. Z domu nie widać chaty, dopiero stąd, z brzegu jeziora. Poza tym powiedzieć, że ten nowy jest przystojny, to za mało. Nie narzekamy nad nadmiar wolnych facetów po trzydziestce – przekonywała Marge.

Sophie wytężyła wzrok. Koło chaty ktoś się pokazał, widziała sylwetkę, nic ponadto, siedziały zbyt daleko. Wszystko jedno, przecież ten czło-

wiek to nieprzyjaciel, intruz. Chciała mieć chatę Whittenów, marzyła o niej równie gorąco, jak jeszcze niedawno o Stonegate. Chciała stworzyć na północnym brzegu jeziora sielską enklawę, w której goście mogliby odnaleźć ukojenie dla ciała i duszy. Obcy tylko będzie przeszkadzał, już teraz ją irytował. W dodatku przystojny, jak twierdzi Marge, a ona musi myśleć o swojej siostrze.

Zachmurzyła się.

– Co to za jeden?

– Niejaki John Smith, tak się przedstawia, dasz wiarę? Jedni mówią, że to jakiś spec od komputerów, który chce tu założyć firmę, inni, że doradca finansowy. Daję mu góra pół roku. Nikt tu dłużej nie wytrzyma, jeśli nie ma kasy.

– Ja nie mam.

– To co innego. – Marge beztrosko machnęła ręką. – Ty i ja żyjemy z turystów. Nie zginiemy. Gdyby pan Smith był stolarzem albo hydraulikiem, to co innego, chociaż stolarzy w okolicy mamy akurat pod dostatkiem. W każdym razie chciałam cię uprzedzić, na wypadek gdyby wpadło ci do głowy iść na spacer w stronę chaty Whittenów. Podpisał roczną umowę najmu i zastanawia się nad kupnem domu, mówiłam ci, ale wyniesie się, zanim spadną pierwsze śniegi. Tak czy siak, nie wróżę mu długiego pobytu. Jak usłyszy o morderstwach...

Mężczyzna zniknął za węgłem chaty.

– Może już usłyszał... – powiedziała Sophie w zamyśleniu.

– Co masz na myśli?

Sophie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Dziwne, że wynajął akurat chatę Whittenów, kiedy na południowym brzegu jest tyle domów do wynajęcia i to w znacznie lepszym stanie. Dlaczego wybrał akurat ruderę na odludziu?

– Pojęcia nie mam. Przyjmuję czeki i nie zadaję pytań. – Marge wstała, strzepnęła ze spodni zabłąkany liść. – Coś ci powiem, przeprowadzę małe śledztwo. Może jest dla mnie trochę za młody, ale co znaczy jakieś głupie dziesięć, dwadzieścia lat? Takie drobiazgi nigdy mnie nie zrażały. Mam już serdecznie dość spania w pustym łóżku. Chyba że ty masz ochotę na tego faceta...

– Nie – podziękowała Sophie uprzejmie.

– Nawet mu się nie przyjrzałaś.

– Nie jestem zainteresowana. Bez tego mam dość na głowie. Nie chcę żadnych komplikacji. Marty też one niepotrzebne.

Przez twarz Marge przemknął ledwie zauważalny cień niechęci. Nie darzyła siostry przyjaciółki szczególną sympatią i nie ukrywała tego, ale nie podobały się jej również metody wychowawcze Sophie.

– Marty potrafi sama zadbać o siebie, musisz jej tylko na to pozwolić.

– A jakże, dowodzi tego na każdym kroku.

Marge powinna się teraz obruszyć, ale przemilczała kwaśną uwagę Sophie. Wiedziała doskonale, że nie musi nic mówić.

– Wracam do pracy – oznajmiła energicznie. – Doktor ma do mnie zajrzeć. Strasznie go intryguje twój nowy sąsiad, koniecznie chciałby się czegoś o nim dowiedzieć, inaczej niż ty.

Sophie uśmiechnęła się pobłażliwie.

– Doktor jest starym plotkarzem, znasz go. Wyciągnie z człowieka każdy sekret.

Marge rzuciła jeszcze ostatnie, tęskne spojrzenie w kierunku chatki.

– Piękny egzemplarz mężczyzny – cmoknęła ze znawstwem. – Daj znać, gdybyś potrzebowała mojej pomocy.

– Owszem. Wyrzuć go stąd.

– Niech Marty trzyma się od niego z daleka, a nic nie zakłóci wam spokoju. Za kilka tygodni będziesz tak pochłonięta pracą, że zapomnisz o nowym sąsiedzie, twoja siostra też.

– Na zmartwienia zawsze znajdę czas.

– Odpuść sobie. – Słowa Marge zabrzmiały niczym rozkaz.

– Tak jest, proszę pani. Może zaniosę panu Smithowi kilka mufinek. Na powitanie. Wybadam, czy naprawdę ma zamiar osiąść tu na dobre.

– Jasne, zanieś mu swoje mufinki, wtedy na pewno nie będzie chciał wyjechać. Za to moje

talenty kulinarne wygnałyby go stąd w okamgnieniu.

– Mogłabym go otruć – myślała Sophie głośno. – Gwarantowany sposób, żeby się pozbyć faceta.

– Żart bardzo nie na miejscu, w przenośni i dosłownie. – W głosie Marge zabrzmiał poważny ton. – Ludzie mają dobrą pamięć.

– Tak myślisz? – Sophie spojrzała w kierunku chaty Whittenów, szukając wzrokiem intruza.

Nie było go.

ROZDZIAŁ DRUGI

Niewiele się zmieniło przez ostatnie dwadzieścia lat. Takie przynajmniej było pierwsze wrażenie Griffina. Trochę więcej przyjezdnych w markecie, trochę mniej wolnych miejsc na parkingu. W starym młynie ktoś otworzył stoisko z pamiątkami, na głównej ulicy pojawił się sklep ze szkockimi wełnami, przyciągający zamożnych letników. Stonegate kupiła kobieta z Nowego Jorku; wyremontowała dom i we wrześniu zamierzała otworzyć zajazd, w samą porę na przyjęcie jesiennych turystów.

Tak, niewiele się zmieniło. Jak dawniej ściągali nad jezioro ci sami zbyt dobrze urodzeni, zbyt starannie wykształceni wychowankowie uniwersytetu Harvarda, Yale i Princeton, jak dawniej obsługiwali ich ci sami tubylcy, cali w uśmiechach, w rzeczywistości pełni pogardy dla mospanków. Tyle tylko, że jednych i drugich było teraz trochę więcej.

Po kiego tu wracał? Nienawidził tego miejsca, pozornie sielskiej atmosfery i wścibstwa. Przed dwudziestu laty po raz pierwszy w swoim życiu włóczęgi tutaj wreszcie poczuł się jak w domu. I przekonał się, czym jest tutejsza gościnność, kiedy zapuszkowali go za zbrodnie, których nie popełnił. Nie wierzył, że w ogóle mógłby je popełnić. Nie chciał mieć nic wspólnego z Colby, z ludźmi, którzy tu mieszkali, ale musiał dojść prawdy.

Udało mu się zrobić najpotrzebniejsze zakupy, nie natykając się na nikogo z dawnych znajomych. Dzięki Bogu nikt go nie rozpoznał. Mógł wracać spokojnie do chaty Whittenów. Jedno na pewno się zmieniło: przed dwudziestu laty nie wyszedłby ze sklepu Audleya, dopóki nie odpowiedziałby na kilka dociekliwych pytań. Musiałby zeznać, gdzie zamieszkał, co go sprowadza do Colby, jak długo zamierza zostać i czyim jest pociotkiem. Letnicy do listy pytań dodawali jeszcze jedno: jaki uniwersytet ukończyłeś? Miał starannie przygotowane odpowiedzi, ale nikt nawet na niego nie spojrzał. Przez nikogo nie niepokojony wyszedł ze sklepu z blokiem sera cabot, z którego słynie Vermont, i sześciopakiem coli. Był niemal zawiedziony, że nikt go nie zaczepił.

Kobieta w agencji nieruchomości nie kryła zdenerwowania, kiedy wręczała mu klucz. Odniósł wrażenie, że wolałaby nie wynajmować mu chaty.

Gówno go to obchodziło. Wiedział, co robi i nie zrażały go takie drobne niedogodności jak brud w domu, brak wody i towarzystwo wiewiórek, które upodobały sobie komin. Chciał się tam wreszcie znaleźć, zamknąć za sobą drzwi i znowu, jak przed laty, poczuć się bezpiecznie.

Irytująca przywara, ale za nic w świecie nie potrafił się jej pozbyć. Zawsze dawała o sobie znać, ilekroć tylko próbował gdzieś osiąść na dłużej. Kiedyś może ją zwalczy, ale teraz szczelnie zamknięte drzwi i okna stanowiły bezpieczną izolację od świata. Tak było lepiej.

Szybko się zaaklimatyzował na nowym miejscu. Zarośnięta, poorana koleinami droga prowadząca do chaty skutecznie zniechęcała ciekawskich, sam dom sprawiał wrażenie nadal niezamieszkanego. Odważył się otworzyć okiennice, potem okna, wpuszczając do wnętrza rześkie górskie powietrze. Wodę w końcu jednak ktoś podłączył, kanapa w bawialni była upstrzona mysimi bobkami, ale to nic. Dało się żyć. Ogarnął pokój, wytarł do czysta wielki stół, ustawił na nim swój laptop, dopiero potem wniósł walizki i zakupy. Przez minione dwadzieścia lat porządek i dyscyplina zdążyły wejść mu w krew. To mógł zapisać po stronie zysków.

Włożył ser i colę do lodówki, włączył ją, po czym wyszedł na ganek. Z braku lepszego zajęcia przysiadł na balustradzie i omiótł wzrokiem za-

chwaszczony trawnik schodzący łagodnie ku jezioru – ostatni widok, jaki zapamiętał z Colby.

Spojrzał w stronę Stonegate. Dom i obejście sprawiały imponujące wrażenie. Nowa właścicielka musiała włożyć w remont mnóstwo pieniędzy i energii. Musiał wymyślić sposób, który pozwoliłby mu dostać się tam bez wzbudzania podejrzeń.

Sprawa wyglądałaby prościej, gdyby wiedział, czego szuka. Niewiele pamiętał z tamtej nocy, a upływ lat raczej nie poprawił mu pamięci. W każdym razie ówczesny wieczór i część nocy spędził w Stonegate, tego był pewien. W nieużywanym skrzydle z wyjściem do ogrodu, w którym kiedyś mieścił się wiejski szpitalik. W dodatku nie sam, tego też był pewien.

Może właśnie wtedy po raz ostatni widział Lorelei żywą. A może to on ją zabił... Poderżnął jej gardło i zaniósł ciało nad jezioro.

Jeśli tak, gdzieś powinny być jeszcze ślady krwi. Pragnął znaleźć jakikolwiek ślad tamtych wydarzeń, coś, co rozjaśniłoby mrok spowijający jego pamięć. Może kiedy wejdzie do opuszczonego skrzydła, atmosfera tego miejsca ożywi jego mocno wyblakłe wspomnienia.

Pobyt w Colby nie zapowiadał się dobrze; już pierwsze godziny spędzone tutaj zdołały wytrącić go z równowagi. Jeśli nie znajdzie innego sposobu, żeby dostać się do zajazdu, spróbuje perswazji. W najgorszym razie będzie musiał się włamać.

Gdy i to nic nie da, zacznie swoje prywatne śledztwo we wsi. Odnajdzie ludzi, którzy mieszkali tu przed dwudziestu laty. Może pamiętają jeszcze tamte morderstwa?

Prędzej czy później natrafi na jakiś ślad, rozwikła zagadkę, choć poczciwi obywatele Colby żyją zapewne w przekonaniu, że sprawa dawno została zamknięta.

Nie została. On wiedział najlepiej. Nie wyjedzie stąd, póki nie pozna prawdy. Póki duchy nie zaznają spokoju. Koniec.

Dowie się, kto zabił Alice Calderwood, Lorelei Johnson i Valette King – on, czy może ktoś zupełnie inny.

Wczesnym wieczorem zobaczył kobietę; szła w stronę chaty. Przez chwilę wydawało mu się, że ma zwidy. Całe popołudnie wietrzył, sprzątał, wyrzucał śmieci, usuwał pajęczyny. Znalazł dwa fotele, które przetrwały lata składowania i wyniósł je na ganek. Teraz, z puszką coli w ręku, usiadł w jednym z nich, stopy oparł o balustradę. Kobieta zbliżała się od strony lasu.

Obserwował ją z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony był absolutnie pewien, że nie życzy sobie, by ludzie nachodzili go bez uprzedzenia, szczególnie kobiety, a zwłaszcza takie jak ta. Była ładna, delikatna, ubrana w jakieś coś w kwiaty, giezło stanowczo za długie i za obszerne. Dodać do tego jeszcze kapelusz z dużym rondem, białe

rękawiczki, i wyglądałaby jak dama zaproszona na garden party.

Tyle że zamiast kieliszka miała w ręku talerz z czymś, co już z daleka wyglądało mu na mufinki. Nikogo nie potrzebował, niczego nie chciał, ale wiedział już, że jej nie zbędzie wrogim mruknięciem. Miał swoje priorytety, a dobre jedzenie widniało na samym szczycie jego listy.

Poza tym kobieta szła od strony starego zajazdu. Może nie będzie musiał wysilać mózgu, szukać sposobów dostania się do Stonegate. Może los podsunie mu rozwiązanie na talerzu.

Powinien wstać na jej powitanie. Nie miał matki, która nauczyłaby go manier, wychowywał go ojciec. Rzucało nimi z miejsca na miejsce, dopóki staruszek nie dokonał żywota, kiedy Griffin miał piętnaście lat. Od tego czasu był zdany wyłącznie na siebie, jednak łyknął co nieco ogłady, a jakże. Pomimo to nie podniósł się, patrzył tylko, jak kobieta wchodzi po schodach na ganek.

Nie lubił ładnych kobiet, lubił kobiety z charakterem, błyskotliwe, trochę cyniczne, jak jego była dziewczyna Annelise. Żadnego rozczulania się, westchnień, sentymentalnych bzdur. Ta tutaj wyglądała jak ze zdjęcia w czasopismach w rodzaju „Dom i ogród". Pachniała kwiatami, świeżym chlebem. Mierzył ją czujnym i mało przychylnym wzrokiem.

– Jestem Sophie Davis. – Słodki, ciepły głos, melodyjny, irytująco miły. – Dopóki nie zacznie

się sezon, nie będzie pan miał innych sąsiadów poza nami. Proszę, mufinki na powitanie.

Wziął od niej talerz i postawił na balustradzie. Powinien zdobyć się na odrobinę uprzejmości, podziękować, wykrzesać z siebie uśmiech, ale coś go powstrzymywało.

Ta kobieta należała do innego świata, uporządkowanego, rodzinnego; on w ogóle nie miał poczucia przynależności. Siedział w fotelu, potężny, spocony prostak, i wpatrywał się w znacznie od niego drobniejszą, irytująco zadbaną Sophie Davis.

Nie chciał, żeby sobie pomyślała, że może do niego zaglądać z sąsiedzkimi wizytami, kiedy przyjdzie jej ochota. Cenił sobie swoją prywatność, szczególnie teraz. Nie zamierzał zwierzać się nikomu i opowiadać, kim jest i co go sprowadza do Colby.

– Dziękuję – wydusił wreszcie i nie zabrzmiało to zbyt uprzejmie. Zerknął w stronę domu Nilesów. – Dziwna pora na otwieranie zajazdu.

– Ciężko pracowałyśmy, żeby wszystko przygotować. Na farmie od wielu lat nikt nie mieszkał, dom był w strasznym stanie, ale udało się go doprowadzić do przyzwoitego stanu.

„Od wielu lat nikt nie mieszkał''. Mógł tu przyjechać znacznie wcześniej, gdyby wiedział. Ale zamiast szukać odpowiedzi, próbował zapomnieć.

– Jesienią jest tu największy ruch – ciągnęła Sophie. – Większy niż latem albo w sezonie narciarskim. Mamy już komplet na cały wrzesień i na dwa pierwsze tygodnie października.

– Kiedy pani otwiera?

– Za dwa tygodnie.

Dwa tygodnie. Dwa tygodnie, żeby dostać się na farmę, zanim zaroi się tam od turystów. Dwa tygodnie, żeby się przekonać, czy stary dom skrywa jakieś tajemnice.

Przyglądała mu się jakoś dziwnie. Zrozumiałe, zapewne przywykła do tego, że mężczyźni jej nadskakują. Podniósł się z fotela. Jeśli ma tylko dwa tygodnie, powinien korzystać z okazji. I uważać, żeby nie wzbudzić podejrzeń Sophie Davis.

– Napije się pani czegoś, pani Davis? – zapytał uprzejmie, spoglądając z góry na swojego gościa. Nie lubił niskich kobiet, ale tak naprawdę wcale nie była taka niska. Tylko kobieca. Wyjątkowo irytujące. Nie miała chyba jeszcze trzydziestki, ale emanowała jakąś staroświecką elegancją, która działała mu na nerwy. Nie miał wcale ochoty na sąsiedzką pogawędkę, nie zdążył się jeszcze zaaklimatyzować, ale skoro zajazd należał do niej, byłby ostatnim głupcem, gdyby dał jej do zrozumienia, że uważa ją za intruza.

Ona też nie wyglądała na specjalnie zachwyconą, miał wrażenie, że czeka tylko, by się pożegnać i umknąć z chaty.

– Po prostu Sophie. I raczej nie pani, nie jestem mężatką – poinformowała. – Muszę wracać do siebie. Chciałam cię tylko powitać. Kiedy już otworzymy, powinieneś przyjść któregoś dnia na obiad.

Miała taką minę, jakby wolała raczej zjeść dżdżownicę, niż przyjmować go u siebie. Nie oczarował jej i wcale się temu nie dziwił. Patrzyła na niego nieco spłoszonym wzrokiem, zupełnie jak Czerwony Kapturek, który właśnie spotkał paskudnego, krwiożerczego wilka. W zasadzie nie odbiegało to zbytnio od prawdy.

– Chętnie – skłamał. Miał nadzieję, że do tego czasu rozwikła tajemnicę i opuści to miejsce.

– Dzięki za mufinki. – A jednak ją wypraszał. Było to tak oczywiste, że nie mogła nie odczytać informacji zawartej w tych trzech jakże lakonicznych słowach.

Uśmiechnęła się ciepło.

– Do zobaczenia.

Patrzył, jak się odwraca i schodzi z ganku. Do zobaczenia? Oby nie.

Usiadł z powrotem w fotelu. Postać Sophie Davis oddalała się, coraz drobniejsza, coraz mniej wyrazista. Nie ufał jej, ale z zasady nie ufał nikomu. Każdy ma coś za skórą. Powiedziała, że napracowały się, by doprowadzić dom do jakiego takiego stanu. A jeśli coś przy okazji odkryła? A może nieświadomie usunęła ślady? Cholera. Za